

A black and white close-up portrait of Maria Nurowska. She has long, dark hair and is looking slightly to the right of the camera with a neutral expression. The background is out of focus, showing some vertical lines and light spots.

MARIA
NUROWSKA
—
HISZPAŃSKIE OCZY

w
ab
ydawnic
two

HISZPAŃSKIE OCZY

MARIA NUROWSKA

autorka powieści i dramatów. Wydała ponad dwadzieścia książek, m.in. *Postscriptum* (1989, wznowione ostatnio pt. *Wybór Anny*), *Listy miłości* (1991), sagę *Panny i wdowy* (1991–1993), *Rosyjskiego kochanka* (1996), *Tango dla trojga* (1997), *Miłośnicę* (1999), *Niemiecki taniec* (2000), opowieść biograficzną o Ryszardzie Kuklińskim *Mój przyjaciel zdrajca* (2004), trylogię ukraińską: *Imię twoje...* (2003), *Powrót do Lwowa* (2005), *Dwie miłości* (2006) oraz wspomnienia *Księżyc nad Zakopanem* (2006). W 2008 roku nakładem W.A.B. ukazała się książka biograficzna *Anders*, w 2009 – powieść *Sprawa Niny S.* Powieści Marii Nurowskiej zostały przetłumaczone na dwanaście języków, w tym chiński i koreański. We Francji i w Niemczech były bestsellerami.

MARIA
NUROWSKA

HISZPAŃSKIE OCZY

Copyright © by Maria Nurowska, 2010
Wydanie V
Warszawa 2010

Chyba nie mogą być gorsi niż Niemcy – powiedziała dziewczyna i wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

Pociąg stał na bocznicy, spory kawał od stacji, ale w Warszawie, więc jej słowa wydały się niezrozumiałe.

– Kto? – padło pytanie.

Dziewczyna uśmiechnęła się ironicznie i odwróciła głowę.

Tego dnia rano do mieszkania mojej ciotki na Kruczej weszło „dwóch podejrzanych cywilów”, jak któraś z nas dowcipnie zauważyła. Wszystkie znalazłyśmy się tu w podobny sposób, przywiezione willysem. W taki sam sposób dowożono mężczyzn, lokowano ich jednak w oddzielnych wagonach. Ciotka spytała: „O co chodzi?” Cywile odpowiedzieli, że mam udzielić kilku wyjaśnień. Zameldowana byłam we Lwowie, myślałyśmy więc, że to o to chodzi. Nie zabrałam żadnych rzeczy, a oni od razu przywieźli mnie tutaj. Spotkałam wielu znajomych, wszyscy z powstania. W jakiś absurdalny sposób się ucieszyłam, że tylu nas przeżyło... W moim wagonie nastrój był dobry, dowcipkowałyśmy, dzieliłyśmy się wałówką, którą co przeczniejsze z nas zabra-

ły ze sobą. Pogoda była ładna, jak zwykle na początku jesieni. Na nasypie kolejowym stał rząd wysokich topól, a przez ich żółknące liście przeświecały promienie lekko zamglonego słońca. Drzwi wagonu towarowego były na oścież otwarte, tłoczyłyśmy się w nich, wystawiając twarze do anemicznego słońca, niektóre dziewczyny przekomarzały się z najbliższym „męskim wagonem”, tam też widziało się same młode twarze. Nastrój jesiennej majówki zepsuła ta dziewczyna. Ona jedna nie brała udziału w paplaninie.

– Kto? – padło pytanie.

Nikt nie odpowiedział. Z nastaniem zmroku drzwi wagonów zaczęto zamykać i plombować. Robili to pracownicy kolejowi, ale w towarzystwie mężczyzn z karabinami; jak usłyszałam, byli to sokiści. Kto więc wysyłał nas w tę podróż, Polskie Koleje Państwowe?

Często wracałam myślą do tego dnia. Nikt nas właściwie nie pilnował, dlaczego więc tak grzecznie przesiedzieliśmy cały boży dzień w otwartej pułapce? Przedtem byliśmy żołnierzami, przeszliśmy piekło powstania, a potem większość z nas obóz w Pruszkowie i transport na zachód. Już raz skakałam z jadącego pociągu, wróciłam do Warszawy. I po co? Żeby po raz drugi pozwolić się przywieźć na dworzec. Powiedziano mi coś zupełnie innego, a mimo to posłusznie wsiadłam do bydłowego wagonu. Nie umiem tego wytłumaczyć, czy zrobiłam to, bo zobaczyłam znajome twarze? A gdybym wyskoczyła i pobiegła w poprzek torów? Czy ktoś by do mnie strzelał? Nie dowiem się

tego nigdy. Pociąg widmo ruszył, wraz z innymi uwożąc mnie w nieznane...

Mój prywatny rachunek sumienia zaczyna się zwykle od sceny podróży na Wschód. Ona otwierała nowy rozdział w moim życiu, bo chociaż mając piętnaście lat, czułam się dorosła, dorosła nie byłam. To, że widziałam śmierć ludzi, a potem powolną śmierć miasta, właściwie mnie wewnątrz nie zmieniło. Ja tylko ocierałam się o koszmar, który z wolna zaczął mnie opanowywać w trakcie tej podróży przez pół Europy i Azję. Podróży z przystankami, które były dla nas jak stacje drogi krzyżowej. Wielu z nas już tam pozostawało. Pociąg zatrzymywał się tylko na małych dworcach, z których przedtem usuwano ludzi. Wypędzano nas z wagonów, ubranie trzeba było oddać do dezynfekcji, a nas kierowano do łaźni. Początkowo była to ulga, ale w miarę wjeżdżania w krainę wiecznego mrozu było to coraz bardziej niebezpieczne. Łaźnia zaczynała się kojarzyć z czymś najgorszym. Puszczano nam na głowy lodowatą wodę, a potem trzeba było wkładać wilgotne ubranie, które często zamarzało jak pancerz. W wagonach zaczynało robić się coraz luźniej. Trupy po prostu wyrzucano z pociągu. W ten makabryczny sposób kompletowałam sobie ubranie na zimę. Wyszłam z domu w letniej sukience, był ciepły wrześnieowy dzień.

Przyszedł ten lekarz. Wydał mi się stanowczo za młody, by zrozumieć mój problem. Czy raczej problem mojej córki. Spytałam, czy orientuje się, o co chodzi.

– O przypadek ciężkiej depresji.

– Depresji? – nie umiałam ukryć zdziwienia. – To raczej rodzaj samounicestwienia bez powodu.

– Zawsze jest jakiś powód.

Czy tym powodem mogło być dziecko? Od jego pojawienia się z Ewą zaczęło się dziać coś niedobrego. Nie umiałam tego w porę opanować, czy też nie byłam w stanie. Chore drzewo rodzi dzikie owoce. Może dlatego urok mojego wnuka jest tak nieopisany, jak nieopisany jest jego upór. Małe zawzięte zwierzątko doprowadzające człowieka do rozpacz. Tym człowiekiem najczęściej jestem ja. On ma dopiero trzy lata, ale wyczuwa moją słabość. Kiedyś doprowadził mnie do łez. Pierwszy raz zobaczyłam wtedy strach w jego oczach. Rozejrzał się, jakby w poszukiwaniu ratunku, a potem rzucił się na podłogę i wczołgał pod łóżko. Roześmiałam się, ale mój śmiech nie brzmiał pewnie. Bardzo jesteśmy do siebie podobni, nie ma osoby, która nie odgadłaby naszego bliskiego pokrewieństwa, najczęściej biorą mnie za jego matkę. Ma taki sam kolor włosów jak ja, jasny, o odcieniu popielatym, i moje niebieskie oczy, nawet ich trochę skośny wykrój. Ale tyle w nim obcego. Ewa często wydaje mi się bliższa, chociaż nie jestem pewna, czy umiem ją kochać. A to dziecko kocham w jakiś niezdrowy, szaleńczy sposób. Czasami wydaje mi się, że gdyby obok mnie był mężczyzna, dziecko patrzyłoby na mnie

innymi oczami. Nie umiem tego bliżej wyjaśnić. Przecież mój wnuk jest za mały, by oceniać moją życiową sytuację. On ocenia jedynie mnie, on się ze mną mierzy. I wygrywa. Już wygrywa. Kilka dni temu zniszczył mi sztuczne rzęsy, które ktoś przywiózł z Paryża. Byłam przy tym, widziałam, jak je po kolei odrywa. Mówiłam: „Zostaw to, słyszysz!” – ale nie podeszłam i nie odebrałam mu ich. Pomyślałam tylko, że moja samotność jest katastrofą. I była w tym pretensja do kogoś, kto nie istnieje. Tego kogoś nie ma, bo zrobiłam wszystko, żeby go nie było. W męskich ramionach szukałam fizycznego spełnienia, wyobrażając sobie, że inne nie istnieje. Z pewną wyższością myślałam nawet o kobietach, które miały jeszcze jakieś złudzenia. Ktoś mi kiedyś wyjaśniał, że oko owada jest inaczej zbudowane niż oko ludzkie. Owad widzi nas jako cień albo jako zarys. W moich kontaktach z mężczyznami zawsze pamiętałam, że oni widzą mnie inaczej, dla jednych jestem cieniem, dla innych zarysem, i rozpoznają mnie tylko w tym kształcie. To nieważne, jaka naprawdę jestem, ważne, że mam na sobie znajomą sukienkę w kropki, bo ona im się utrwaliła na siatkówce.

– Myślę, że ona już nie przyjdzie – mówię do lekarza. – Przepraszam. Może zadzwonię do pana...

– Mogę jeszcze poczekać – odpowiada.

– Ale...

– Mam przeczucie, że jednak przyjdzie.

Ciekawe, lekarz kieruje się przeczuciami. Może w jego specjalności to całkiem naturalne.

Każda wzmianka o przyszłości wprawiała mnie w popłoch. Przyszłość nigdy dla mnie nie istniała, zawsze była tylko ta uciekająca chwila. Usiłowałam sobie tłumaczyć, że wolność wyklucza wszelkie związki, a to one mnie przecież skuły. Tych dwoje decyduje nie tylko o moim życiu, lecz także o moich nastrojach. Momenty ulgi zależne są od sytuacji w alei Reymonta, która decyduje, jak się będzie wiodło na ulicy Odyńca. Nie liczy się już nic, żadna premiera, żadna dobra recenzja. Ja też już przestaję się liczyć, nawet sama dla siebie.

Wchodzi Ewa.

– Przepraszam, spóźniłam się – mówi.

Zawsze to lekkie zdziwienie, że tak wygląda moja córka. Nie jest podobna ani do mnie, ani do nikogo z mojej rodziny. Trójkątna twarz, której centralnym punktem są oczy, za duże i za kolorowe. Barwa oczu mojej córki przypomina owoc granatu. Jakiś znajomy z Ameryki, widząc nas razem, zawołał:

– Z kim to pani zgrzeszyła?

Dowcip typowo amerykański, trzeba przyznać. Teraz mówię:

– Zawsze się spóźniasz.

A ona odpowiada:

– I zawsze przepraszam.

Moje słowa, jej słowa, jej pytania, moje odpowiedzi. I słuchacz. Ostatnio towarzyszy nam stale osoba trzecia. To ma coś rozwikłać, pomóc jej, pomóc mojej córce. Ale coraz mniej jest we mnie nadziei. W niej chyba też, bo słyszę, jak mówi:

– Z pewnością jest pan lekarzem. Nikt inny do nas nie przychodzi. Odkąd sięgnę pamięcią, w domu mówiło się o chorobach, lekarzach i o podejrzeniach chorób. To samo jest teraz z moim synem, teraz jemu mama się uważnie przygląda.

No tak, częstuje ją papierosem, a ona będzie oczywiście paliła, mnie na złość. Wiem, że nie powinnam się odzywać, ale mówię:

– Córka nie pali.

Ewa wyjmuje papierosa z paczki, spoglądając na mnie.

– Dlaczego to mówisz, przecież wiesz, że palę.

Lekarz podaje jej ogień, wstając przy tym, i widzę, że jej się to bardzo podoba. Czuję cień irytacji, mnie też częstował, ale odmówiłam. Nie mogę powiedzieć o sobie, że jestem tak zupełnie niepaląca. Czasami potrzebuję nawet papierosa, ale zawsze wtedy, kiedy jestem sama. W takim zaciąganiu się dymem jest dla mnie coś, z czym nie należy się przed obcymi zdradzać. Tak samo nie zniosłabym, gdyby ktoś obserwował mój orgazm. Musi być zgaszone światło. I nie ma w tym wstydlivosti mojego ciała, ale raczej mojego wnętrza. Wstydlive wnętrze, to chyba dobre określenie, przecież ja kiedyś wstydziłam się być dzieckiem i sukienka przed kolana była dla mnie dramatem. Niestety, moja matka nie mogła tego zrozumieć.

– Przecież te spotkania są po to, żebyśmy się waliły pięścią po głowie – mówi Ewa. – Pokój mamy ma się zamienić w ring, a panu ma przypaść rola sekundanta.

– A jednak pani przyszła.

– Bo nie miałam innego wyjścia. Ona mnie szantazuje, że nie da pieniędzy. Te jej pieniądze wychodzą mi już bokiem. Czasami myślę o tym, żeby rzucić studia i pójść do pracy...

– Jako kto? – pytam głosem, którego sama nie lubię, jest o ton wyższy niż zwykle.

– Wszystko mi jedno – odpowiada Ewa.

– Nie zarobisz na życie. Na to życie, do jakiego jesteś przyzwyczajona. To mój błąd, nie masz pojęcia, co się wokół dzieje, bo wychowywałaś się w wacie.

I nagle uświadamiam sobie, co mówię, przecież jej wczesne dzieciństwo... ale ona go nie pamięta; kiedy ją wypytywałam, nic sobie nie mogła przypomnieć. Tylko tę podróż. Pamięta, że jechałyśmy i jechałyśmy, ale nie umie wyjaśnić, ani skąd, ani dokąd...

– Ale w szklanej!

Czy było jej źle w wygodnym życiu, czy naprawdę tak się czuła? Teraz gotowa wszystkiemu zaprzeczyć, już mi zmieniała osobę, już mówi o mnie „ona”.

– Zawsze uważałaś, że skoro dajesz pieniądze, jesteś już wobec mnie w porządku.

Chcę powiedzieć: zarób je, wtedy zrozumiesz, co to znaczy. Ale mówię:

– Nie mam sobie nic do zarzucenia.

– A wczoraj mówiłaś co innego, przepraszałaś mnie za wszystko, a nawet błagałaś o wybaczenie.

Mówię:

– Nie pamiętam.

Ale pamiętam dobrze tę scenę. To jej przez drzwi: „Chwileczkę”. Nie może mi otworzyć, bo oczywiście jest w łazience. I już nie wchodzę, ale wpadam i rozglądam się w poszukiwaniu proszków lub pustych opakowań po proszkach.

– Zawsze cię pamięć zawodzi, jak się nie chcesz do czegoś przyznać – głos Ewy staje się piskliwy, niemal dziecięcy. – Mam ci przypomnieć?

– Może innym razem, pani Ewo – wtrąca lekarz.

I już rozmówka: ona, że nie jest żadną panią, a on, że w takim razie nie jest żadnym panem.

– Nie wprowadzajmy prywatnej atmosfery, bo moja córka pana zje – mówię trochę za ostro, ale nie po to go tu sprowadziłam, żeby wdawał się w przekomarzania z tą smarkatą.

– To której z pań mam posłuchać?

Jednym uchem słucham tego, co ona odpowiada, a przed oczami projekcja wczorajszego dnia. Trzymam w rękach opakowanie pełne małych żółtych tabletek, wyluskuję je i wrzucam do muszli klozetowej. A ona ich broni. Szamoczemy się przez chwilę, jestem wyższa. Ewa wspina się na palce, prawie dosięga mojej ręki. Wtedy uderzam ją kolaniem w brzuch. Zgina się wpół, na twarzy spazm bólu. Wyrzucam resztę tabletek, spuszczam wodę. Teraz ona pochyla się nad muszlą, szarpia nią torsje. A ja stoję obok i zaczynam się trząść. Głowa odskakuje mi na boki jak w ataku epileptycznym, Ewa to widzi.

– Zaraz idę do apteki – mówi zimno.

A teraz mówi:

– Niech będzie, jak chce mama. Jestem w tej rodzinie czarną owcą i zawsze sprawiam kłopot swojej wspaniałej matce. To ja jestem ten potwór, to ja ją niszczę.

– Ty siebie niszczysz! – krzyczę. – Siebie i swoje dziecko. Nie myślę już o sobie.

– Ty nie myślisz o sobie! To dlaczego wciąż się użalasz, że los cię pokarał taką córką?

– Bo mnie pokarał. Ja już nie umiem normalnie zacząć dnia. Pierwsza myśl jest zawsze o tobie. A ściślej o twoich jelitach!

– Wiem, wiem, jestem słaba. I truję się prochami.

Już dawno to zauważyłam, Ewa ma charakterystyczny sposób trzymania głowy; kiedy z kimś rozmawia, przekrzywia ją lekko na bok i patrzy spod spuszczonej rzesy, jakby z ukosa. Żeby nie można było przyłapać jej spojrzenia. Ciekawe, czy on też to zauważył.

– Ile pani ich bierze? – pyta ją teraz.

– Kilkaset tabletek tygodniowo bisacodylu! – odpowiadam za nią.

– A kto pani wypisuje recepty?

Teraz ona odpowiada:

– Czasami lekarz. Ale najczęściej jeżdżę od apteki do apteki i żebrzę. Mówię, że to dla sąsiadki, staruszki, która już nie wychodzi.

– Bardzo sprytnie. Ten lek wypisuje się osobom, których organizm jest niewydolny. Kto pani o tym powiedział?

– Sama na to wpadłam. Intuicja mi podpowiedziała.

– A tego nie podpowiedziała, że się pani sama wyniszcza?

– Wiem, że długo nie pożyję – mówi moja córka.
– Już się z tym pogodziłam.

– A co będzie z pani dzieckiem?

– Mama się zajmie. Przecież marzy o tym, żeby mieć Antka wyłącznie dla siebie. Jest o niego zazdrosna. Ja jej tylko przeszkadzam.

Idiotka! Zamieniłam mieszkanie na dwa mniejsze, żeby wreszcie poczuła się matką. Zaczynała traktować Antka jak brata. Ile razy mi się skarżyła, że jej coś zniszczył, pomazał jakiś zeszyt.

– Antek to twój syn! – mówię ostro.

– Wiem, że to mój syn, więc daj nam spokój. Pozwól nam żyć!

– Przecież to ty dzwonicz do mnie.

– Bo nie mam telefonu i jakbym nie zadzwoniła, już byśmy cię mieli na głowie.

Usta mojej córki układają się jak do płaczu.

– Pani Ewo, którego jest dzisiaj? – pyta lekarz niby ni z gruszki, ni z pietruszki, ale rozumiem, o co mu chodzi. Ma rację, nie pozwala nam wpaść w jałowy słowotok. To był poważny błąd jego poprzednika. Tamten uważał, że mamy być spontaniczne, kończyło się to zwykle awanturą, wyciąganiem jakichś spraw. Ewa zaczynała płakać. W końcu zerwałyśmy ten kontrakt. Lekarz tak nazywał nasze spotkania, zastrzegał też, że w każdej

chwili możemy je przerwać. Bo spotkania muszą być spontaniczne. Bardzo lubił to słowo. Ten chyba lubi je mniej, wyraźnie zaczyna sterować naszą rozmową. Może rzeczywiście jest taki dobry, jak o nim mówią.

– To pan nie wie? – dziwi się moja córka.

– Wiem, ale chcę usłyszeć od pani.

– Może to i niegłupi pomysł – próbuję mu pomóc.

– Przecież żyjesz bez kalendarza.

On lekko się na to krzywi, daje mi poznać, że bym jego rozgrywki pozostawiła jemu.

– Więc którego? – powtarza.

– Niech mama odpowie.

– Ale ja panią pytam.

– Ale ja przecież nie wiem.

– To odpowiedzieć? – on na to.

– Nie potrzeba. Piąty października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Wtorek.

– Ile pani dzisiaj wzięła?

– Jeszcze nie wzięłam.

– Więc ile pani weźmie?

– Półtora opakowania.

– To ile w tabletkach?

– Trzydzieści pięć tabletek.

I na to ja, chociaż wiem, że nie powinnam mu tego psuć:

– Kiedyś chciałam wypróbować ich działanie, wzięłam sześć i byłam chora przez tydzień.

– Bo nie jesteś przyzwyczajona – stwierdza Ewa.

– To zwykle tabletki na przeczyszczenie.

– Pani też nie, a już na pewno nie jest przyzwyczajone pani jelito grube, z natury bardzo delikatne. Nikt go pani nie wymieni na inne, przynajmniej na tym etapie medycyny.

Ewa smutno się uśmiecha.

– Ja wiem. Mnie ciągle boli brzuch.

– Brzuch ją boli! – wybucham. Kiedyś tak sobie podrażniła wątrobę, że była cała żółta na twarzy. Wezwałam pogotowie. Chyba się nawet przestraszyła, a potem znowu to samo.

Taka jestem bezradna. Nie chcą jej przyjmować do szpitala, twierdząc, że to przypadek dla psychiatry. Zrobili jej rentgen, zbadał ją chirurg i na tym się skończyło. Nic nie znaleźli. Po długich staraniach udało mi się załatwić wizytę u znanego gastrologa. Umówione byłyśmy z samego rana. Ewa nie zjawiała się pod szpitalem. Była w domu, w tym swoim stanie zupełnego wycieńczenia. Prawie siłą doprowadziłam ją do taksówki. Spóźnione o ponad godzinę, weszliśmy do gabinetu profesora. I to tylko dzięki mojej twarzy, która się dobrze skojarzyła pielęgniarce. Przytrzymała umówionego pacjenta, a my przemknęliśmy do gabinetu. Profesor zbadał Ewę, potem powiedział to, co mówili już inni. Wyszliśmy stamtąd. Patrzyłam, jak idzie, czepiając się ściany, a potem na otwartej przestrzeni stąpa niepewnie, prawie nie odrywając nóg od ziemi. Wyglądała jak ciężko chora. Chciałam ją wziąć pod rękę, ale się uchyliła. Na krótką chwilę nasze oczy się spotkały. Jej oczy, w których zawsze

mieściło się za dużo. Wszystko jedno: szczęścia czy rozpaczy.

– Więc ustaliśmy, że od dziś będzie pani brała o jedną tabletkę dziennie mniej. I będzie to pani zapisywała w specjalnie do tego przeznaczonym zeszytynie.

– To nic nie da – mówi Ewa. – Ja muszę zwiększać dawki. Zaczynałam od kilku tabletek.

– A chodzi głównie o to, żeby mieć wklęste policzki – wtrącam. – Broń Boże wypukłe!

Nie wolno dopuścić do zmiany linii na owalną, świat by się od tego zawalił. Pierwszy sygnał to była waga, zwykła łazienkowa waga. Zaczęła ją wszędzie wozic ze sobą, nawet jak wyjeżdżałyśmy na sobotę i niedzielę.

– To ty powiedziałaś, że mam uda jak słoń. To przez ciebie zaczęłam się odchudzać!

– Kiedy ci tak powiedziałam?

– Jeszcze w szkole podstawowej. Stale mi docinałaś, że jak chodzę, podłoga się trzęsie.

– I dlatego wozilaś ze sobą wagę? Myślałam, że to dziwactwo.

Oczy mojej córki są pełne łez.

– Bo tak ci było wygodnie!

– Niczego nie podejrzewałam.

– Bo wtedy właśnie przestałaś się mną zajmować – lży spływają jej po policzkach. – Stwierdziłaś, że sama już powinnam dawać sobie radę, bo mam już piętnaście lat! Ty mnie porzuciłaś!

Muszę wstać i podać jej serwetkę. Zawsze, kiedy ona płacze, coś się we mnie kurczy, chciałabym jak

mój wnuk schować się pod łóżko. Tym razem lekarz milczy, a powinien się włączyć, skoro miałyby to być jakaś metoda.

– Ja w twoim wieku... też byłam sama – mówię, bo on dalej milczy.

– Tym bardziej powinnaś mnie zrozumieć. Mogłaś się nacieszyć swoją babcią, ja prawie nie rozumiem słowa „rodzina”.

– Bo nie chciałaś rozumieć – odpowiadam twardo.
– Mogłyśmy ją mieć.

To nie Ewa zniszczyła ten związek. To ja. A jednak mówię to, co mówię. Bo nagle mi się wydaje, że ten obcy człowiek, który nas widzi po raz pierwszy w życiu, już wyrabia sobie o mnie zdanie. Już mnie ocenia i ta ocena wypada coraz gorzej.

– Myślisz o swoim facecie?

Złe oczy mojej córki. Moje złe oczy.

– A „Witek” nie przejdzie ci przez gardło?

– Zamiast się nade mną zastanawiać, wolałaś wyjść za męża.

Wyciera nos, serwetka jest już mokra. Podaję jej inną z uczuciem, że wypadłam z roli. Niczego już nie przeżywam, jestem tylko nastawiona na swoją obronę. Uważam, że oni oboje są przeciwko mnie.

– A ty, żeby mi w tym przeszkodzić, zaszłaś w ciążę na rok przed maturą! – cedzę swoim obcym głosem.

– Miałam dokładnie tyle lat, co ty, kiedy mnie urodziłaś. Tylko że ja nawet nie wiem, kim był mój ojciec. Zrobiłaś z tego wielką tajemnicę. Kiedy cię pytałam,

wykręcałaś się, zawsze byłam za młoda. Ale na co? Na co? Teraz sama już mam dziecko i też jestem za młoda.

– Wróćmy do twojego zdrowia – mówię z uczuciem wewnętrznego dygotu, boję się, że zaraz będzie mi odskakiwała na boki głowa, zawsze się tego bałam przed kamerą. Teraz też jestem przed kamerą, są nią oczy tego obcego człowieka. Obraz w nich odbity nie będzie miał wpływu na moją i tak już wątpliwą karierę, ale może mi zaszkodzić w innych oczach, w oczach mojej córki.

– Jak jej powiedziałam, że jestem w ciąży, uderzyła mnie w twarz.

– Przestań!

– Tylko tyle potrafisz – ciągnie jadownicie Ewa.

– Krzyczeć. Krzyczeć i bić po twarzy.

– Przestań!

– Mówię prawdę!

– Nie byłam surową matką – słowa przychodzą mi z trudem. – Chciałam ci pewne sprawy wyjaśnić, ale ty oświadczyłaś, że nie zamierzasz rozpocząć życia seksualnego przed maturą.

– A co ci miałam mówić. Wstydziałam się ciebie.

– I dlatego, jak cię lekarz pytał, nie umiałaś powiedzieć, kiedy był ostatni okres.

– Nie mów tego przy panu.

– Proszę mówić wszystko.

Nareszcie odzyskał język w gębie. Zadzwonię wieczorem i podziękuję mu za współpracę. Ewa, jakby poznała moje myśli, mówi:

– Pan jest dwieście dwudziestym piątym lekarzem, który tu przychodzi, i ciągle mówimy to samo.

– To znaczy co?

– No, że biorę te proszki.

– Więc dlaczego je pani bierze?

– Bo się musi odchudzać – wtrącam. – Żeby nie znajdować pustych opakowań po bisacodylu, wszędzie, za szafą, za lodówką, zamieniłam mieszkanie. Z trzypokojowego przeprowadziłam się do klitki.

– Ja też.

– Po prostu większą klatkę zamieniłyśmy na dwie mniejsze.

– Ale ja mieszkam z dzieckiem.

– To ja z nim mieszkam – czuję ucisk w okolicy serca. – Stale jest u mnie. Nie mogę pracować, a utrzymać muszę dwa domy.

– Na którym jest pani roku?

Ten sam chwyt, już go rozszyfrowałam. Nie ma na nas pomysłu. Coś tam wyczytał i stosuje mechanicznie. Przedtem – „Jaka data”, teraz – „Na którym jest pani roku”.

– Po raz pierwszy na pierwszym – odpowiada Ewa.

– A co pani studiuje?

– Dobre pytanie – mówię z ironią.

– Pedagogikę specjalną.

– Będzie się zajmowała kalekami. Jak to oni mówią, rewalidowała je. Ona, rozumie pan, ona!

– Właśnie ja, tylko człowiek upośledzony może pojąć drugiego takiego człowieka.

– Człowiek upośledzony – podchwytyję. – Ciekawe określenie. I w twoim przekonaniu ty nim jesteś?

– Tak, ja nim jestem, mamusiu. Teraz zadaj następne pytanie: dzięki komu?

– Dzięki sobie, córeczko – odpowiadam tym samym słodkofalshwym głosem. – Sobie samej zawdzięczasz ten los.

Telefonuje od sąsiadów, żebym przyjechała po dziecko, bo nie jest w stanie zaprowadzić go do przedszkola. Przecież tego nie można wytrzymać. Ja już nie mogę!

Wystarczy, że drzwi się za nią zamkną, a zaczynam nasłuchiwać telefonu. Kiedy zadzwoni i wezwie mnie do podróży przez całe miasto. Te podróże... przez ostatni rok wiele ich odbyłam, zawsze z uczuciem skurczu w gardle. I przed wizytą w alei Reymonta, i po wizycie. Wchodząc tam, zastawałam ją zwykle w łazience. „Chwileczkę”. Nigdy nie otworzyła od razu drzwi. Czasami tylko, zanim nie zniknęła tam z powrotem, zdolna była zamienić ze mną parę słów. Przecież tak nie można żyć – myślałam z rozpaczą, nie wiedząc, co jeszcze ode mnie zależy, co jeszcze mogłabym zrobić. Przedtem, kiedy Ewa mówiła: „Ratuj mnie, ja ginę, czuję, że muszę pójść do szpitala”, starałam się ten szpital załatwić, teraz wiem, że to nic by nie zmieniło.

Dostałaby kroplówkę, która podniosłaby poziom elektrolitów we krwi, potem wróciłaby do domu i zaczęłaby je tracić od nowa.

– Wiem, że wam obojgu niszczy życie – przyznawała – ale jestem słabym człowiekiem.

I dlatego że ona jest słabym człowiekiem, ja muszę tłuc się tramwajami albo wystawać na przystankach. Nie mam samochodu, nigdy nie miałam. Jako socjalistyczna gwiazda filmowa jakoś się go nie dorobiłam. Nawet kiedy więcej grałam w filmie. Zostałam nią przypadkiem. To był początek tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, ktoś miał mi dostarczyć przesyłkę od ciotki z Anglii. Tym kimś okazał się reżyser filmowy. Rozmawialiśmy chwilę, najpierw stwierdził, że się spieszy, ale potem powiedział, że napiłby się herbaty. No i przy tej herbacie zaproponował mi rolę czy raczej rolę w swoim filmie. Miałabym siedzieć na tarasie, w staroświeckiej sukni, z parasolką i melancholijnie patrzeć przed siebie. Początkowo zachnęłam się, ale potem, po jego zapewnieniach, że dawno szukał takiej twarzy jak moja, zgodziłam się.

– Z kobietami w naszym kinie – powiedział – kieszko. Nawet mamy parę ładnych, ale zniknął typ kobiety przedwojennej, takiej, wie pani, rasowej, z dobrego domu.

Bo je, drogi panie, wymordowano – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

– Daję słowo, że zarobi pani na chleb, grając różne hrabianki i panienki ze dworu.

– A potem podstarzałe hrabiny? – roześmia-
łam się.

– Żeby pani wiedziała.

Scena miała być epizodem, a stała się lejtmotywem filmu. Tajemnicza kobieta, siedząca na tarasie, co jakiś czas pojawiała się i znikwała. I nikt dobrze nie wiedział, dlaczego. A jednak mnie zauważono. Dostałam zaproszenie na zdjęcia próbne. Poszłam, chociaż nie czułam w sobie żadnego powołania do aktorstwa. Może dlatego poszłam, że do niczego nie czułam powołania. I żeby było śmieszniej, moja pierwsza większa rola to była rola hrabianki. Przenoszono na ekran jedną z powieści Żeromskiego. Długo pamiętałam tę postać, między innymi dlatego że musiałam się nauczyć jeździć konno. Zakończyło się to upadkiem, skręciłam nogę. Trzeba było przerwać zdjęcia, reżyser był niezadowolony. Omal się nie wycofałam. Ale nie pozwolono mi, bo część materiału została już nakręcona. Film odniósł sukces, miał tak zwaną kasę. W recenzjach wymieniano moje nazwisko, ale przede wszystkim chwalono urodę. Moja kariera filmowa rozwijała się błyskawicznie, jednak środowisko mnie nie zaakceptowało. Traktowano mnie jak amatorkę, a kiedy zdecydowałam się wystąpić w świątyni, jaką jest dla nich teatr, zostałam ukarana. Do dziś śni mi się, że stoję na scenie i widzę pogardliwe twarze kolegów, maszynistów, suflera i gram coraz gorzej, myślę się, nawet seplenię... Moja twarz na okładkach magazynów, na plakatach była mi obca. W życiu prywatnym mam o wiele mniej efektow-

ny wygląd. Kiedyś lekarz pogotowia, zapisując moje nazwisko, powiedział:

– Nazywa się pani jak ta aktorka...

Nie wyprowadziłam go z błędu, bo ja się naprawdę tak tylko nazywałam. Byłam tym człowiekiem z zewnątrz, chociaż z dnia na dzień stałam się sławna. Pisano ciągle o mojej niezwyklej urodzie, o szlachetności rysów i niezwyklej blasku oczu. Dziewczyny zaczęły się czesać jak ja, zrobiła się na mnie moda. Dostałam zaproszenie do Paryża na zdjęcia próbne. Reżyser był bardzo znany, a to podwajało stawkę. Nie dostałam roli. To był pierwszy sygnał, żeby tak nie ufać losowi, który przelotnie się do mnie uśmiechnął. Często mi przecież w przeszłości dawał do zrozumienia, że nigdzie nie jest powiedziane, iż to ja mam być szczęśliwa. Doznawałam przebłysków szczęścia. Jako kobieta, jako aktorka, ale trwało to tak krótko, że nigdy nie byłam pewna, czy naprawdę mnie dotyczy... Zawsze była tylko ta uciekająca chwila. Jeden z terapeutów powiedział, że mam przerośnięte poczucie wolności i to mi nie pozwala na włożenie gorsetu, jakim jest związek z mężczyzną lub stała praca. Więc dlaczego teraz czuję się zbyt wiotka, żeby móc bez niego istnieć? Na jakąkolwiek miarę zrobiło się za późno. Znam siebie i wiem, że nie zniosłabym ukłucia jednej szpilki... Do kogo więc mam teraz pretensje, do człowieka bez twarzy? Że nie przyszedł i czegoś za mnie nie postanowił? A czy ten człowiek mógłby cokolwiek w moim losie zmienić? Czy zmusiłby Ewę

do normalnego życia? Do zajmowania się dzieckiem? Odpowiedź brzmi: nie... Gdybym znalazła siłę i mogła wyjść z domu albo chociaż wyciągnąć wtyczkę telefonu z gniazdka, być może chociaż na chwilę stałabym się na powrót sobą, a nie matką i babką. Tak się przejęłam swoją nową rolą, że boję się, iż mężczyźni bezpowrotnie odchodzą z mojego życia. Ostatnio nie mam nawet kochanka. To uważne, taksujące spojrzenie, które zawsze było dla mnie wyzwaniem, teraz mnie drażni. A mam trzydzieści dziewięć lat i pozostał mi ostatni rok młodości. I już wiem, jak go spędzę. Na podróżach z górnego Mokotowa na dolny Żoliborz. Koniec. Kropka. Może dlatego że kiedyś odbyłam inną podróż...

Dzwoni telefon. Zanim go odbiorę, muszę pokonać wewnętrzny skurcz. Bo jeżeli to ona dzwoni albo jej sąsiadka, żebym natychmiast przyjeżdżała... A ja za dwie godziny muszę być w studiu telewizyjnym. Gram epizodyczną rolę w sztuce Zapolskiej. Może nie odbierać...

– Cześć, mamó – słyszę, tym razem głos jest naturalny, nie ma w nim ani histerycznej nuty, ani bezgranicznego znużenia, które jest nawet gorsze, bo oznacza, że Ewa nie jest w stanie ani pójść na uczelnię, ani odebrać Antka z przedszkola, jeżeli w ogóle go tam zaprowadziła. – Nie mam pieniędzy.

– Przecież niedawno dostałaś tysiąc złotych.

– Miałam wydatki.

– Za obiady zapłaciłaś?

– Po co? Tak sobie ułożyłam zajęcia, że nie mam okienka, inaczej nie zdążyłabym po Antka.

– Bo też sobie wymyśliłaś studia. Jeszcze nie widziałam, żeby jakiś student miał tyle godzin tygodniowo.

Wiem, że się powtarzam. I ona o tym wie, ale cierpliwie mi tłumaczy.

– Bo to są studia specjalistyczne, mammo.

– Mówiłam, żebyś zdawała na uniwersytet.

– Przecież zdawałam. Jestem za mało zdolna. Uniwersytet to dla mnie za wysokie progi. Ja jestem dobra na Wyższą Szkołę Pedagogiki Specjalnej.

– Ile ci potrzeba? – pytam z rezygnacją.

– No... dwieście złotych.

– I na co to?

– Oddałam dwie bluzki do farbowania, nie zapłaciłam za przedszkole...

– Przecież za przedszkole ja płacę. Dlaczego znowu kręcisz. Po co ci te pieniądze?

– Chcę się uczyć prywatnie angielskiego, chcę znać języki.

Fala niechęci podpływa mi do gardła. Mam pretensje, że jest taka niedojrzała. Cały ciężar odpowiedzialności za siebie i dziecko zwała na mnie. Co można myśleć o kimś, kto w tej sytuacji chce się nagle prywatnie uczyć języka? Jest na pierwszym roku studiów, ma małe dziecko i brakuje jej czasu na zjedzenie obiadu. „Musi pani regularnie o tej samej porze jeść obiady – stwierdził profesor gastrolog. – Potrzebuje pani dużo

blonnika. Zupy są bardzo ważne”. Zupy! Czego mu się zachciewa. Zupa to wróg numer jeden, bo od niej się przecież tyje.

– Nie stać nas na takie lekcje – odpowiadam znużonym głosem. – Przynajmniej nie teraz. A poza tym dzień masz wypełniony.

– Mogę się uczyć, jak Antek śpi. Ktoś by przychodził.

– A co ze studiami?

– Angielski przyda mi się na studiach.

– Ewa, na miłość boską!

– No to cześć – zanim zdążyłam coś powiedzieć, odwiesiła słuchawkę.

Przecież ja w jej wieku... po raz pierwszy ją zobaczyłam. I to nie całkiem z własnej woli. Przedtem nie chciałam jej oglądać, nie chciałam jej też widzieć zaraz po urodzeniu...

Pozostawiono mnie na stacji z „wypiską” w ręku i powiedziano, że muszę poszukać sobie pracy i mieszkania. W tym miasteczku lub w okolicy, ale tylko w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Dalej poruszać mi się nie wolno. Moi aniołowie stróże wsiedli z powrotem do „przedziału służbowego”. Pociąg ruszył, a ja stałam i patrzyłam za nim, nie bardzo jeszcze rozumiejąc swoją sytuację, co oznaczało to: „poszukać pracy i mieszkania”? Był początek lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, a ja miałam na sobie swoje cywilne ubranie, to znaczy płaszcz na wacolinie z futrzanym kołnierzem, pod spodem niezbyt

grubą spódnicę i sweter. Na szczęście Wiera dała mi ciepłą bieliznę. Stałam na obcej stacji i trzęsłam się z zimna. Obok mnie kręcili się jacyś ludzie, wszyscy ubrani w kożuchy albo grube fufajki, na nogach mieli walonki. Na mnie nie zwracano uwagi. Wyszłam przed dworzec, kiedy już oswoiłam się z myślą, że nikt mnie nie pilnuje. Zobaczyłam dachy niskich drewnianych domków z werandami i rozjeżdżoną saniami ulicę. Ruszyłam przed siebie, po kolei mijając domy pomalowane jaskrawą farbą; zatrzymałam się przed zielonym, może dlatego, że nazywano go kolorem nadziei. Chciałam otworzyć furtkę, ale z ujadaniem przypadły do niej psy. Ten większy przypominał wilka i miał coś bardzo złego w oczach. Firanka w oknie odsunęła się i zobaczyłam czyjaś twarz. Pomachałam ręką. Po chwili na ganek wyszła tęga kobieta, miała narzucony na ramiona bezrękawnik z grubej wełny, a na nogach walonki bez kaloszy.

– Czego tam? – spytała nieżyczliwie.

– Szukam pracy – odpowiedziałam, starając się ukryć obcy akcent. Ale ona zauważyła.

– Nie ma pracy – odrzekła wrogo i zniknęła za drzwiami. Ruszyłam dalej. Pukałam jeszcze do kilku domów, ale odpowiedź była taka sama. Tak dotarłam do czegoś w rodzaju rynku, mieścił się tam sklep, magazyn, knajpa i komitet partii. Najpierw wstąpiłam do sklepu, pytając, czy nie potrzebują kogoś do pomocy, potem nagabnęłam magazyniera, zajrzałam do restauracji. Pozostał mi tylko komitet. Mieścił się w niskim

budynku przypominającym barak. Wchodziło się do środka po dwu kamiennych schodach bez poręczy. Były bardzo śliskie. W poczekalni zastałam kilku ludzi w rozpiętych kożuchach, z baraniami czapami pod pachą. Kurzyli machorkę. Stałam pod ścianą, zajmując sobie kolejkę. Nie odezwałam się ani oni się nie odzywali. Czekaliśmy w milczeniu. Mniej więcej po godzinie zostałam sama w poczekalni; sądziłam, że mnie zawołają, tak jak to było w wypadku poprzednich interesantów, ale drzwi się nie otwierały. Po jakimś czasie zapukałam i weszłam do środka. Za biurkami siedziało dwóch mężczyzn. Starszy, o siwej rozczochranej czuprynie, i młodszy, rudy z chytrymi oczami. Podeszłam do starszego.

– W jakiej sprawie? – spytał.

– Kazali mi znaleźć pracę, ale pracy nie ma. I mieszkania też. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Nie mam pieniędzy i jestem za lekko ubrana na taki mróz...

Mężczyźni spojrzeli po sobie, młodszy się roześmiał.

– A wy skąd?

– Ja... Polka.

– To wiemy, że nie Ruska – zniecierpliwiał się starszy. – Skąd się tu wzięłaś?

Podaliśmy mu swoją „wypiskę”, rzucił tylko okiem.

– Uwolniona – powiedział z naganą. – To szukajcie pracy, szukajcie. My nic do was nie mamy.

– Ale... pracy nie ma. I nie mam dokąd pójść.

– To już nie nasza sprawa. Nie do nas z tym.



Ewa cierpi na bulimię. Zatruwana toksyczną miłością Anny, swojej matki, nie potrafi zaakceptować siebie. Kobiety rozpoczynają wspólną terapię u psychologa. Dla Ewy stawką jest ozdrowienie, dla Anny – uwolnienie się od przeszłości i poczucia winy, jakie odczuwa za każdym razem, gdy patrzy w ciemne oczy córki.

Z powstaniem Hiszpańskich oczu wiąże się niezwykle historia. Pod koniec lata 1988 roku spotkałam w parku kobietę, która mimo że nie była już młoda, miała jedną z piękniejszych twarzy, jakie widziałam. Zaczęłyśmy rozmawiać. Jak się okazało, byłam jej pierwszą słuchaczką, odkąd w 1953 roku wróciła z zesłania na Syberii. Trafiała tam jako piętnastoletnia dziewczyna za udział w Powstaniu Warszawskim. Nie wracała ze Związku Radzieckiego sama, przywiozła ze sobą córkę, owoc gwałtu, jakiego dokonano na niej w łagrze...

Krzysztof Nawrocki

Wydawnictwo
W ab

978-83-7414-739-2



9 788374 147392

cena 39,90 zł